

# TYGODNIK POLSKI

## MATERIAŁY OBOZOWE

Rok I (III)

Budapeszt, niedziela 12 grudnia 1943

Nr 21 (48)

STABILIS

## TURCJA PO LATACH DWUDZIESTU

Przed niewielu tygodniami święciła Turcja dwudziestolecie istnienia republiki tureckiej. Rzut oka wstecz okaże nam, że w minionym okresie dokonało się na tym obszarze pełnym historycznych wspomnień przeobrażenie polityczne, kulturalne i gospodarcze największej dziejowej miary. »Wysoka Porta«, »Państwo Osmańskie«, zarazem »sultanat« i »kalifat« — wszystkie owe nazwy używane Turcji z przed 1918 r. oznaczały państwo kontynuujące tradycję mocarstwa, które w niepowstrzymanym pędzie zwyciężym opanowało kolejno cały Bliski Wschód i półwysp bałkański, aby zatrzymać się dopiero na nizinie naddunajskiej i u granic stepów Podola, wciąż grożąc bezpieczeństwu Europy środkowo-wschodniej. Po złamaniu potęgi tureckiej w wielkopomnej kampanii wiedeńskiej, po nieszczęśliwych rozprawach wojennych z Eugeniuszem Sabaudzkim Turcja została w XVIII w. zepchnięta do obrony i już nigdy nie odzyskała swego dawnego zwycięzczego ducha. Nastąpił okres powolnej likwidacji potęgi tureckiej, trwający od drugiej połowy XVIII stulecia przez cały wiek XIX i początek XX w., długotrwała masa konkursowa »chorego człowieka nad Bosforem«.

Był to jeszcze wciąż przysłowiowy kolos na glinianych nogach. Odebrała mu Rosja Krym i Kaukaz; nowe państwa powstałe na Bałkanach bądź po wielowiekowej niewoli odbudowane pod mozną opieką Rosji, Austro-Węgier, Anglii, Francji i Niemiec, ograniczyły panowanie tureckie na półwyspie do niewielkiego skrawka w bliższym promieniu stolicy państwa, Konstantynopola. Odpadło zwierzchnictwo nad Egiptem, które przeszło do rąk brytyjskich. Po przegranej wojnie trypolitańskiej Turcja została usunięta z ostatniej pozycji na północnym wybrzeżu Afryki. Pozostała jednak jeszcze Anatolia, pozostała Syria z Libanem, Mezopotamia, Palestyna, pozostał cały półwysp arabski — a nade wszystko pozostał kalifat, zwierzchnia władza duchowna nad światem muzułmańskim, dająca sferę niezmiernych wpływów świeckich, politycznych.

Tak przedstawiała się sytuacja wyjściowa państwa

sultańskiego w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej. Turcja w tej wojnie postawiła na dwuprzemierze austriacko-niemieckie i — wraz z sojusznikami przegrała. Już w czasie wojny propaganda angielska, umiejętnie podsycana i rozszerzana przez oficera »Intelligence Service« Lawrence'a, skupiła większość szczepów arabskich w obozie antytyreckim. Poszczególne fazy wojny przyniosły wojskom tureckim szereg niepowodzeń; wyjątkiem w regule były pewne sukcesy przeciwko Rosji po obu stronach pogranicza Kaukazu oraz skuteczna obrona półwyspu Gallipoli. Na polu politycznym wszystko u kresu wojny przemawiało za druzgocącą klęską Turcji. Wydawało się, że nie tylko utraci ona wszystkie terytoria załudnione przez Arabów, ale że nawet zachodnie wybrzeże Anatolii przejdzie pod panowanie greckie. Jedno jedyne groźne niebezpieczeństwo rozwiało się, i to nie dzięki odporności tureckiej, lecz na skutek cudzej słabości. Było nim widmo utraty Konstantynopola na rzecz Rosji, a wraz z stolicą utraty kontroli na Dardanelami, to znaczy kluczowego stanowiska u wrót Morza Czarnego. Turcja ratuje Stambuł — Carogród, bo Rosja w szpasmach wojny domowej nie potrafi skutecznie upomnieć się o wykonanie klauzul traktatu londyńskiego z 1915 r. Umową zaś londyńską ówczesni sojusznicy cara Mikołaja II. zapewniali mu posiadanie Konstantynopola i cieśnin, a więc realizację maksymalnego programu rosyjskiego ery carskiej w tej części ziemi, legendarnego testamentu Piotra Wielkiego.

Traktat w Sèvres, część integralna splotu umów międzypaństwowych, popularnie nazywanych traktatem wersalskim, oznacza najniższą linię Turcji. Po nim nadchodzi jednak okres nagłego odrodzenia, siły tureckiej. Wojska tureckie pod wodzą Mustafa Kemala Paszy odnoszą szereg zwycięstw nad Grekami. Dochodzi do rewizji poprzednich klauzul traktatowych, co następuje przy akompaniamencie powszechnego wzrostu zaufania do przyszłości nowej republikańskiej Turcji.

Nowa Turcja pozostaje w dalszym ciągu strażni-

kiem cieśnin i przejazdu z Morza Śródziemnego na Morze Czarne i jako taki powiernikiem wszystkich zainteresowanych i całego świata. Ograniczona do obszaru małego w zestawieniu z tym, który posiadała przez nieszczęsną wojną, a co dopiero w porównaniu z olbrzymim zasięgiem historycznych włości sułtańskich, Turcja Kemala świadomie wyrzekła się wszelkiej ekspansji. Z chwilą usunięcia sułtanatu i wprowadzenia ustroju republikańskiego, odpada też kalifat padyszacha, osobiste stanowisko nadrzędne tureckiego włacy w dziedzinie religijnej w stosunku do wszystkich wyznawców islamu. Rezygnacja z kalifatu odbiera z jednej strony prawo wglądu w sprawy wyznaniowe wielomilionowej rzeszy mahometan arabskich, hinduskich, malajskich, które tak często zająbiają się o sprawy polityczne, z drugiej jednak uwalnia z tych samych powodów od obowiązków. Turcja zamyka się w swoim ściślejszym terytorium etnograficznym i poświęca się wewnętrznemu scaleniu nowego państwa na polu ustrojowym, kulturalnym i gospodarczym.

Praca dokonana przez Mustafę Kemala i jego następcę Ismeta Paszę, którzy po przeprowadzeniu reform przybrali nazwiska Atatürk i İnönü, zasługuje na nazwę olbrzymiej. Reformy Atatürka wyprowadzają naród turecki z mroków orientального prymitywu na trakt wiodący do nowoczesnego gospodarczego rozkwitu. Jest to pewnego rodzaju pokojowa rewolucja, przewyciężenie pokojowymi środkami swoistego, wschodniego feudalizmu, a zarazem rozpoczęcie okresu rozwojowego tej warstwy ludności, która dla nowej Turcji jest najważniejsza, rozwoju ekonomicznego i kulturalnego chłopów anatolijskich. Równolegle zaś szła praca nad rozbudową miast i przemysłu. Koniecznością wydało się Atatürkowi nie ograniczenie się do jednego Stambułu, leżącego w pobliżu granicy państwa — Stambułu, który jako dawne Bizancjum czy Konstantynopol był kamieniem milowym polityki zdobywczej na drodze wiodącej aż w serce Europy, utracił jednak znaczenie stołeczne w chwili, gdy musiał ograniczyć się do pilnowania cieśnin. Przeniesienie stolicy do Ankary było początkiem szerokiej rozbudowy miast w Anatolii, której sprzyjały nowe warunki gospodarcze, a w szczególności metodycznie popierany rozwój przemysłu.

W dziedzinie polityki zagranicznej Turcja republikańska dokonała pełnego zwrotu. Z wroga Anglii stała się jej przyjaciółką, powróciła do czasów, kiedy angielscy mężowie stanu, Canning i Palmeston byli najjarliwszymi obrońcami tureckiej samodzielnosci. Przez pewien czas wydawało się wprowadzić, że nadchodzi okres ściślejszego związania się Turków z Rosją Sowiecką, w rezultacie jednak przy zachowaniu poprawnych stosunków z Rosją, republika turecka zawarła przymierze z Wielką Brytanią. Sojusz z Rosją byłby miał sens jako podkreślenie dążeń rewizjonistycznych, tych atoli Turcja kemalowska w szerszych rozmiarach dobrowolnie wyrzekła się. Przymierze z Anglikami dawało Turkom oparcie

w flocie brytyjskiej i służyło w pierwszym rządzie do utrzymania Bosforu i Dardaneli.

Kiedy wybuchła druga wojna światowa, wydało się że Turcja przyłączy się czynnie do brytyjskiego sojusznika. Prezydent İnönü wolał jednakże kraj swój trzymać z dala od zgiełku wojennego i zadowolił się określeniem Turcji jako państwa nieprowadzącego wojny. Od tego czasu nie jeden raz republika turecka przesliznęła się obok niebezpieczeństwa wciągnięcia w wir wojny.

Oko w oko z wojną spotkała się w r. 1941, kiedy zwycięska kampania niemiecka przewyciężyła opór Jugosławii i Grecji i — stanęła u granic Turcji. Turcja, pomimo silnych wewnętrznych skłonności do pośpieszenia z pomocą Grecji, pomimo prawdopodobnego nacisku brytyjskiego w tym kierunku, pozostała na uboczu. Nie czuła się najwidoczniej na siłach do powstrzymania naporu niemieckiego, wolała się więc organiczyć do nieprzepuszczenia wojsk niemieckich przez swoje terytorium i, zrezygnować z czynnej roli. Prostą konsekwencją nowego stanu rzeczy było, w miarę opadania fali wojennej nad Morzem Egejskim, stworzenia pewnej platformy współzycia z Niemcami.

Dalecy od nawrotu do polityki sojuszu z pierwszej wojny światowej, wierni zasadom przymierza z Anglią, Turcy postanowili jednak manewrować w ten sposób, żeby nie narazić się na zaostrzenie stosunków z Niemcami i na ewentualność »ultimatum« z ich strony. Przykład Norwegii z r. 1940, Jugosławii z r. 1941, nie był pod tym względem zachęcający. Z całym nakładem orientalnej przebiegłości dyplomatycznej doprowadzono do układu przyjaźni z Niemcami, który niemiecki partner, ambasador von Papen mógł uważać za wyłom dokonany w przymierzu anglo-tureckim, turecki zaś negocjator, obecny premier a podówczas minister spraw zagranicznych, Saradżoglu za usunięcie groźnego niebezpieczeństwa od Turcji i zarazem od jej brytyjskiego sprzymierzeńca.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że wojna błyskawiczna wszczęta przeciw Turcji mogła poważnie zagrozić flankowym uderzeniem tak angielskim poczynaniom przygotowawczym na Bliskim Wschodzie jak rosyjskim pozycjom na Kaukazie. Umowa z Niemcami zażegnała niebezpieczeństwo przemarszu wojsk niemieckich przez Turcję, ubezpieczyła flanki i pozwoliła utworzyć w Iranie i Iraku »place d'armes« dla armii, które oczekują w teraz pełnym uzbrojeniu dalszej marszruty.

Umowę handlową z Niemcami musiała Turcja w tych warunkach zawrzeć tak korzystnie, jak się dało. Niemcy w zasadzie uzyskali dostawę tureckiego chromu, za który zobowiązali się płacić nowym materiałem wojennym i to z góry. Ciężki to warunek do spełnienia, nie zawsze bowiem armia w boju może zrezygnować z najpotrzebniejszego uzbrojenia dla bardzo ważnych choćby umów handlowych. Dostawy chromu tureckiego chromają też z tych właśnie powodów, o ile zaś dochodzą do skutku, napływa w zamian sprzęt wojenny wartościowy —

innego Trucy nie przyjmują — i dzięki temu armia turecka według oceny znawców wojskowych jest dziś doskonale wyekwipowana i wyćwiczona.

Nacisk Sprzymierzonych Narodów na Turcję zdwoił się w obecnym stadium wojny. Napiera brytyjski sojusznik, wsparty przez Stany Zjednoczone, pomrukuje z lekka grożąc Rosją stalinowska. Obawa oskrzydłającego natarcia i »blitzkriegu« przeminęła; bierność Turcji wydaje się w tej chwili atutem korzystnym dla Niemiec. Wiązanie jak największych sił niemieckich na wszystkich możliwych teatrach wojennych jest wszakże podstawowym kanonem strategii Sprzymierzonych. Jednocześnie wysuwa się jako żądanie minimalne pod niejednym względem pretensje o odstąpienie pewnych punktów lub obszarów celem utworzenia tam baz wojennych. Braknie szczegółowych informacji czy ta »azorska« taktyka została wobec Turcji zastosowana, wisi ona jednak w powietrzu.

Turcja jest na rozdrożu. Odrodzona politycznie i ustrojowo, mniejsza, lecz o ileż wewnętrznie silniejsza, gospodarczo okrzepnięta, niemało wzbogacona w czasie tej wojny — nie kwapi się zbyt do wojowania. Nie widzi mocno zarysowanych, konkretnych celów wojny dla siebie. Hegemonia niemiecka w Europie i na Bałkanach straciła znacznie na aktualności. Hegemonii rosyjskiej chcieliby jednak Turcy również uniknąć. Gospodarzami

cieśnin pragną pozostać sami, bez drugich współgospodarzy — i tutaj ambicje tureckie spotykają się z życzeniami Anglików. Wolą mieć Turcy nadal wspólną granicę w Tracji z Grekami, niż widzieć Bułgarów nad Morzem Egejskim. Może refleksywaliby na jakąś część Dodekanazu w spadku po Włochach, a byli przecie do niedawna w posiadaniu wszystkich dwunastu wysp. Cele — raczej w konturach: te z nich, które są ważne, życiowe — mają charakter negatywny. Nie żądają dla siebie ale usuwają drugich.

Może jednak przyjść odpowiedź, że na każdy korzystny układ stosunków trzeba zasłużyć. Z wypowiedzi mężów stanu wszystkich obozów walczących technicznie przeświadczenie, że w życiu narodów musi panować zasada odpowiedzialności. Narody są kowalami własnej przyszłości. Nie będzie więc w świecie nadmiernego zdziwienia, jeżeli pracownicy budowniczowie tureckiej nowej państwowości w pewnej chwili odłożą na bok arkany gry dyplomatycznej, choćby mistrzowsko uprawianej, i bądź otwarcie przyznają swoim sojusznikom pewne ulgi i ułatwienia bądź własnym oddziałom dadzą rozkaz do marszu. Kierować nimi będzie zawsze myśl o Turcji, która przestała być »chorym człowiekiem nad Bosforem«, a zdąży konsekwentnie do zajęcia współdecydującego stanowiska w sąsiedztwie własnego odbudowanego domu.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

## Czwarty list z Kolozsuáru

...kto by to mógł przypuszczać, że się kiedy z Panem, Panie Łojeczku, tak daleko znajdziemy jedno od drugiego? Ileż to razy Pan mię w życiu wybawił z kłopotu, spełnił za mnie nudną i trudną pracę, do której ani wiedziałam jak się wziąć. Ile się Pan u mnie nafroterował, naoklejał okien, nazałkładał firanek. Kto umiał gwóźdź wbić w ścianę kruszącą się jak babka, tak, aby gwóźdź nie wypadł i dziury w ścianie nie było? Pan Łojek. Kto potrafił przynieść na czas z każdej redakcji pieniądze, postarać się najprędzej o zrealizowanie czeku w P.K.O., kto najpiękniej opakowywał druki i przesyłki pocztowe do wszystkich krajów? Pan Łojek, nie kto inny. Komu raz w PKO wydano za dużo o pięćdziesiąt złotych na mój czek i jeszcze zbesztano, kiedy Pan się zaczął upominać, że rzecz nie jest w porządku. Aż musiałam sama telefonować i oznajmić w tym okienku, że muszą mieć w kasie o pięćdziesiąt złotych za mało, i Pan znów się tam pogramolił, i znów stał w kolejce, aż udało się zwrócić nadpłacone pieniądze. Ile się Pan dla mnie i za mnie nachodził i nastał Łojeczku! Toż było tej służby wspólnej w gabinecie pana Marszałka lat dziesięć, a potem jeszcze parę lat najlepszej przyjaźni.

Cośmy się naprzyjmowali patentów, Panie Łojek! Cośmy widzieli delegacji i warjatów i pożał się Boże, złodziei nawet. A jak nam było żal ludzi, którym nie dało się nijak pomóc: A jak nas razem filmowano, i Pan mi podawał jakiś papier na tym filmie, a ja zebrałam na stół wszystko, co się dało, żeby tylko wyszło poważnie i tak, żeby nas ludzie uznawali. Pamięta Pan, jak się biedziłam, czy jakaś zapomoga nie dostała się zwykłemu złodziejaszce, a Pan na to powiedział, że może i złodziej nieraz być biedny i potrzebna mu pomoc, i bardzo mi to do przekonania trafiło, i nigdy już potem tak się nie martwiłam nad tem, czy się pomoc nie dostaje przypadkiem niezastługującemu.

A jak Panu córka się otruła, Panie Łojek biedny! Teraz znów syn Panu daleko na robotach zmarł i sierotę zostawił. A ile się Pan natrapił z chorobą poprzedniej swojej żony, ile pieniędzy poszło na rad i Bóg wie nieco... Żeby nie pobożność, toby nieraz trudno było Panu wytrzymać na świecie. Dobrze, że choć z tej obecnej żony ma Pan tyle pomocy i pociechy.

Pisze Pan »... Muszę być w domu i kucharzem i praczką i krawcem i szewcem, bo nigdzie nie pracuję,

i żadnej emerytury nie otrzymuję... «Boże mój, Łojeczkuko kochamy, za tyle lat pracy, i jeszcze rosyjskiego zawodowego wojska — nic! I pisze Pan... swojej dobrej, ukochanej szefowej i nauczycielki nie mogę zapomnąć, i napomnieć i przestrzóg, jakie czasami otrzymywałem: niech Pan nie pali, niech Pan wódki nie pije, bo nie ma Pan zdrowia do niej, a były czasami i ostre wymówki, ale ja bez nich żyć nie mogłem, bo one były dla mnie dobre i mile... Ostatni list otrzymałem 24 grudnia, i wtedy bardzo byłem chory na zapalenie płuc i bardzo byłem zadowolony, że w ostatnią godzinę mego życia wspomniała o mnie droga moja Pani... «Pamiętam dobrze, Panie Łojeczkuko, jak kiedyś okropnie zbeształa Pana za spóźnienie, bo przyszedł Pan do biura dopiero o jedenastej. Strasznie przykrych rzeczy Panu naopowiadałam, a Pan tak smutno powiedział: »Bo ja stałem w kolejce do spowiedzi, a teraz i do spowiedzi się nie dostałem i śniadania nie jadłem i jeszcze mi Pani Sekretarka nauręgała.« Napewno, napewno nieraz niesprawiedliwie nauręgałam, albo żądałam rzeczy za trudnych, sprzątania u mnie po godzinach urzędowych. Ale Pan był zawsze taki uczynny i taki cichy... Teraz, kiedy tyle rzeczy robić muszę sama, daleko lepiej zdaję sobie sprawę, ile czasu co zajmuje i czy się da zrobić prędko, czy nie.

A pamięta Pan, jak na mnie były pisane różne brzydkie rzeczy w gazetach za książkę o Panu Marszałku, i Pan przyszedł wtedy do mnie specjalnie, choć już nie byliśmy w jednym biurze, żeby mi powiedzieć, że ani podoficerowie, ani woźni w Gabinetcie nie wierzą niczemu złemu, co by o mnie gdziekolwiek stać mogło. I zdaje mi się, że dostał Pan wtedy odemnie »Ścieżkę« z dedykacją, i czytał ją Pan i nie złego w niej Pan nie znalazł bo przecież był Pan tam razem ze mną od samego początku i podoficerowie byli, i wszyscyście widzieli, co i jak było.

Tak to, Panie Łojek kochany, i ja zawsze Pana wspominam, a najbardziej przy jakiejś niezręcznej robocie, wożeniu drzewa, albo układaniu go w piwnicy — niech tylko zawsze będzie to drzewo, a już ja je ułożę, niema obawy! — albo kiedy stoję na poczie, czy po kartki jakie w kolejce. Ludzie się kłócą, po nogach depcą, i nigdy nigdzie nie mogę się dostać sprawiedliwie, bo póki stoją, to jeszcze, ale jak kolejka rusza z dworu już we drzwi, to wszystko to silniejsze pcha się naprzód i tak kopie nogami i gniecie żebra łokciami, że, kto jak ja — słabszy, w żaden sposób swojej kolejki utrzymać nie może. Policjant stoi, ale nawet nie wtrąca się wcale, bo co on jeden na kilkaset osób może poradzić. Wtedy to najbardziej myślę o tem, jak to Pan mnie w takich wszystkich nieprzyjemnych rzeczach zastępował, ile Pan czasu na to w życiu stracił, i czy będę kiedy miała sposobność to wszystko Panu jeszcze raz wynagrodzić, jeśli nie materialnie, to chociaż wdzięcznością. Chociaż napewno czuł Pan, jak bardzo dużo miałam dla Pana przyjaźni, już choćby z tego,

że ze wszystkich moich dalekich podróży zawsze do Pana pisywałam.

Dziwne to bardzo, ale wie Pan, że i w drodze tutaj w 1939 roku to najwięcej, razem z Ministerstwem mojem uciekając, miałam opieki, pomocy i pociechy z woźnych i szoferów naszych. Ile tam osób po drodze zostało po różnych kwaterach tylko dlatego, że nikt ich nie obudził, nikt na nich nie poczekał, nikt im rzeczy w ostatniej chwili nieść niepomógł... A mnie jeden poczciwy woźny moją maszynę do pisania, małego Remingtona, od Warszawy aż do Krzemieńca wioził cały czas na kolanach, a szofer autobusu nigdy bezemnie wyjechać nie chciał. Kiedy w Kutach zostałam, żeby wracać do Warszawy, bo nie chciałam za nic przechodzić granicy, to tak mnie ten szofer namawiał, żeby jechać ze wszystkimi dalej razem! Tak tam sama w tych Kutach zostałam i byłabym się dostała bolszewikom, gdyby prosty dorożkarz nie był mnie ostrzegł, że oni nadchodzą, o czym wcale nie wiedziałam, bo już nikt nikomu nic nie oznajmiał. Więc wtedy w ostatniej chwili, nie mając czasu nawet włożyć butów, tylko w nocnych pantoflach, dostałam się do auta, którym jechał kasjer. Bardzo nawet oponowała wtedy żona jednego z sekretarzy ministra, bo przez to musiało zostać jej radio, ale kasjer jednak ostatecznie mnie zabrał, nie radio, niech mu Bóg da zdrowie. Ale już potem całkiem się odbiłam od swoich i poszłam na własny chleb odrazu. Już 25-go września miałam posadę, a przeszliśmy granicę 17-go, posadę u obcych i tak samo i teraz, już od czterech lat, zawsze u obcych pracuję. Nauczyłam się dawać lekcje, i to tak dobrze, że wszyscy chcą się u mnie uczyć w tem miasteczku, i uczni mam tylu ilu chcę. Ale nie odrazu tak było i nieraz już liczyłam ostatnie grosze.

Nigdy jednak nie opuszczała mnie dobroć ludzka. U tych państwa, gdzie najpierw byłam za nauczycielkę, w bogatym domu prywatnym, najlepsza dla mnie była prosta chłopka. Choć nie rozumiałyśmy się, ale ona tak potrafiła koło mnie chodzić, tak mię pocieszyć, tak nademną popłakać serdecznie, że trudno o lepszą i u nas. Potem, jacyż dobrzy byli w całym miasteczku ludzie prości, kiedy się dowiadawali skąd jestem, nawet ceny zaraz brali mniejsze, a podtykali co mieli najlepszego. Kiedy tutaj była zmiana państwa i zrobiły się z Rumunii Węgry z dnia na dzień, bo ten kawałek należał dawniej do Węgier, i tak się ułożono, że znów do nich powrócił — to wtedy też z dnia na dzień straciłam posadę, mieszkanie i utrzymanie, i wcale nie wiedziałam, dokąd się obrócić. Jednak nikt z bogatszych znajomych nie wziął mnie do siebie, choć na parę dni, tylko zaprosiła mię ta sama chłopka-służąca z tego bogatego domu, że niech do nich na wieś pójde na ile czasu chcę, aż się coś znajdzie lepszego.

I teraz mam mnóstwo takich przyjaciół tutaj. A więc jest jeden szewe, który był kiedyś, za tamtej wojny, w niewoli rosyjskiej, tam w Rosji się ożenił, pochował żonę i z córką wrócił do ojczyzny. Z nim

mogę się porozumieć po rosyjsku. Mieszka z córką i z kotem na przedmieściu w małej kliteczce, a przede drzwiami i oknem zawsze sobie sadzi kwiaty, które tutaj się prześlicznie udają wogóle. Ogromny z niego filozof. Poznaliśmy się w taki sposób, że potrzebował on przetłumaczyć sobie różne dokumenty z rosyjskiego i ja mu to zrobiłam i nie chciałam nic za to wziąć. Coś z rok mi potem zato buty darmo reperował, a było tych reperacji dosyć. Otóż on myśli, że wojny są tylko z tego, że ludzi jest za dużo, jak się przeredzą, ustaje wojna.

Mam też strasznie kochaną praczkę, która pierze nieopisanie tanio i prawie że nie drze bielizny. Biedna Szari ma dużo zmartwień, młodsza jej siostra jest taką rejestrowaną panią i Szari się bardzo tem trapi. Panią zresztą ma poczciwe serce i przychodzi pomagać Szari pracować, kiedy jest dużo roboty. Znam ją oddawna. Mąż Szari, Janczi, jest Rumunem, chory na suchoty w ostatnim stopniu i po całym ciele. Młody, okropnie chudy, ledwo jest zdolny przejść z łóżka na krzesło. Kiedy nie jest pijany, łązi biedaczek po podwórzu niańcząc jakiegoś kota, albo białego pudelka Zizi. Szari pracuje jak nie wół, ale chyba cała para wołów, chodzi na sprzątanie po domach, sprzedaje dynię pieczoną na ulicy, zawsze zziębnięta i spocona. »Kupiłam Janczemu spodnie aż za 40 pengő,« chwali się. »Bój się Boga, Szari, przecież on lada chwila umrze, poco mu spodnie?« — powiadam. »Właśnie, będą do trumny, a przynajmniej teraz ma z nich radość,« odpowiada biedna Szari. Jest seklerką, to taki tutaj górski naród, bardzo zdolny i bardzo niezależny.

Wielu mam też znajomych wśród ludzi, którzy stoją według tutejszego zwyczaju na rynku, i których można wynająć do jakiej się chce jednorazowej roboty. Mają nieraz piły lub siekiery, bo najczęściej się wynajmują do robót z drzewem, bowiem tutaj wszystko, nawet centralne ogrzewania, drzewem się pali, albo mają taczki — do przewożenia różnych towarów. Często zresztą stoją z pustymi rękami, a latem leżą i śpią poprostu na ziemi aż ich kto zapotrzebuje. Otóż nigdyby Pan Łojeczek nie uwierzył, jak okropnie oni wyglądają, w jakich strasznych i dziwnych chodzą łachmanach, a są to najczęściej najpocziwsi ludzie, tylko do pracy wkładają co mają najgorszego, a czasami, kiedy zimno, kilka najgorszych ubrań jedno na drugie. Taki i walizkę odniesie na dworzec, bo o wehikuł jaki tutaj niezmiernie trudno, i przy przeprowadzce pomoże, i przydźwiga z piwnicy tyle drzewa, ile człowiek zapraśnie. Kiedy się w święto umyją, przebiorą w porządne ubranie, to zupełnie ich poznać nie można. A rozmowa z nimi jest niezmiernie ciekawa, bo życie często mieli bardzo urozmaicone, raz na wozie, raz pod wozem, w różnych stronach bywali, nieraz i po kilka języków nie gorzej odemnie umieją. Tutaj tacy ludzie ogromnie są przydatni, bo jest wiele prac takich, których żaden szanujący się człowiek pracy nie zechce robić, uważając je sobie za dyshonor.

Więc mnie naprzykład jeden woźny, ale nie taki w mundurze, tylko poprostu człowiek do posług z biura asekuracyjnego, nosi obiady. Był on u siebie, w wiosce seklerskiej, stolarzem, ale że ma synka chorego na gruźlicę kości, przeniósł się do miasta i wziął taką służbę, przy której jest Kasa chorych, gdzie leczą mu synka a to zastrzykami, a to lampą kwarcową, żeby nie zmarniał. Więc ten człowiek, kiedy miał mi nosić drzewo z piwnicy, to wołał sam podnajmować człowieka (takiego z rynku) do noszenia, a kiedy miał paki zabrać stąd do warsztatu, żeby z nich coś innego zrobić, to i tych pak sam na wózek nie zabrał, tylko kazał odwieźć na wózek komuś innemu. Ponieważ za noszenie obiadów dostaje bardzo dobre wynagrodzenie i nawet dość dużo jedzenia, więc jest umówione że ma i tę parę łyżek i jakichś rondelków po mnie zmywać. To niema Pan Łojeczek pojęcia, za jaki dyshonor on to sobie uważa i jak się boi, żeby go kto nie zobaczył. Tłumaczył mi on też kiedyś, że żaden szanujący się majster własnej roboty sam nie odwozi ani odnosi do domu klientowi, bo to wielki wstyd i niktby go potem nie szanował.

Ogromnie różne są pod tym względem obyczaje na świecie, bo przecież u nas nikt się takich rzeczy nie wstydzi, ale że tutaj tak uważają, to prawda, bo niech Pan sobie wyobrazi, że kiedy raz jeden przed domem, w którym mam kilku uczniów, ładowałam sama na taczki drzewo, które człowiek wyrzucał dla mnie z piwnicy, żeby było prędzej, to potem i dozorca i windziarz z tego domu przestali mi się kłaniać. Ogromnie mnie to rozgniewało, więc posłałam do każdego z nich z osobna — jeden był Węgier, drugi Rumun, ale obaj tutejsi, i zażądałam wyjaśnienia, dlaczego są tacy niegrzeczni. Bardzo się wykręcali, ale im dobrze nagadałam, że jeśli uważają, że nie jestem »prawdziwą panią« dlatego, że pracuję to powinni mi się kłaniać poprostu jako znajomej kobiecie, a nie jako »panik«. W końcu musieli się rozśmiać i byliśmy potem w przyjaźni.

Ponieważ, dając lekcje w różnych końcach miasta, często używam autobusów, dużo też mam znajomych wśród konduktorów, bo tutaj już i przed wojną konduktorów nie trzymało, tylko konduktorki. Bardzo rozmaite to bractwo, a strasznie energiczne, jak się taka uweźmie kogo nie wpuścić do środka, to za nic nie wpuści. Jedne są zawsze złe i kłótniwe i na nikogo nie chcą poczekać; taka ani się obejrzysz przed ruszeniem z przystanku, czy kto za autobusem nie leci, i jak się zbierze sześć osób na miejscach stojących to już nie pozwala nikomu więcej wejść. Inne znowu są przepocziwe, wciągają pasażerów do środka jak worki, wywoływują z tłoku kobiety z dziećmi, pomagają wpełznąć tłumoki, upychają pasażerów jak śledzie, opiekują się staruszkami, i u nich nigdy spełnienie nie jest tak wielkie, żeby nie można było jeszcze kogoś wziąć. Bardzo jest przyjemnie w takim trzęsącym, dusznym przepełnionym autobusie spotkać »znajomą« konduktorkę. Rozmówić się nie możemy, bo moja znajomość węgierskiego jest czysto

książkowa, do rozmowy się nie nadaje, ale kobiecina albo panienczka tak ślicznie się uśmiecha, tak zdawałoby się wybiera najpiękniejszy bilet i najlepszą resztę, że mi się zupełnie ciepło robi koło serca, jak od prawdziwej przyjaźni. A może ta właśnie i jest najprawdziwsza?.

W tem oddaleniu i tej samotności jednym z najmniej samotnych miejsc jest dla mnie naturalnie kościół. Jest tutaj bardzo dużo kościołów jak na niewielkie miasto, ale nie wszystkie są katolickie, bo Kolozsvár w większej swej części jest protestancki. Kiedyś nawet tutaj z Polski, jeszcze za polskich królów wywędrowali różni znakomici protestanci pobudowali gmachy, które do dziś istnieją. Najbliżej mnie położony jest kościół oo Franciszkanów, jest przy nim i klasztor, ale ojcowie w nim boso chodzą tylko latem, a z głową gołą wogóle nie chodzą tylko w filcowych szerokich kapeluszach męskich co zresztą w niczem nie ubliża zakonowi. Przy klasztorze jest podwórze krużgankowe z figurą św. Franciszka w środku, ale taką śliczną, jak rzadko. Stoi sobie święty nieco pochylony i przemawia do owieczki, która ni to przykłęka właśnie, ni to podnosi się z kolan, a naokoło pęta się kilka ptaszków; zapewne podsłuchują. Naokoło zakonnicy posieli trochę trawy, posadzili kilka róż, chłód tam jest latem jak w studni... Najczęściej tam zachodzę w ciągu dnia, przebiegając, na jaką lekcję. Zato w niedziele chodzę do Pijarów.

Tam znów jest, czegośmy nigdy nie widzieli z Pánem Łojkiem zakrystianka, kobieta i nawet nie zakonnica tylko zwyczajna świecka. Ogromnie czysto i pięknie utrzymuje ołtarze, kwiaty, ornaty, koronki i w wielkiej rzybie trzyma chłopców ministrantów, którymi po kolei są różni uczniowie kolegum pijarskiego. Powoli doszłam do tego, że już sama umiem zamówić Mszę i wytłumaczyć czy za żywego czy za umarłego. Mam tam też już w zakrystji na stałe obraz niewielki Matki Boskiej Częstochowskiej, który mi zakrystjanka stawia na ołtarzu, kiedy jest moja Msza.

Duży piękny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej wisi w głównym kościele grecko katolickim na bardzo honorowym miejscu. Zafundowała go jedna Pani jeszcze w czasie kiedy tu było dużo uchodźców Polaków. Najpierw nic przed nim nie było, tylko stoliczek, potem powieszono taki krzyżyk szklany, w środku którego jest lampka elektryczna, wreszcie dano dwie podstawki do stawiania świeczek, a że ja bardzo lubię ten zwyczaj, więc coraz to tam wpadam i stawiam po parę świeczek, żeby nasza Matka Boska w obcej stronie miała jak największy respekt u ludzi.

Już chyba na tej Matce Boskiej Częstochowskiej zakończę mój list do Pana Łojeczka, który zapewne będzie listem świątecznym. Niech was tam wszystkich Pan Bóg chroni i błogosławi.

B. M.

## ANGLIA A PORTUGALIA

Fakt zawarcia układu azorskiego między Portugalią a Anglią wywołał liczne komentarze w prasie miejscowej i zagranicznej. Powołanie się Churchilla na umowę istniejącą między obu państwami, pochodzącą z XIV wieku, skłania do ustalenia genezy tej umowy i wyjaśnienia tła historycznego stosunków anglo-portugalskich.

Bliskie stosunki polityczne między Anglią i Portugalią wywierać poczęły siłą faktu wpływ na stronę gospodarczą obu państw. Król angielski Edward III, pragnąc, zacieśnić łączące je węzły, ogłosił w 1352 r. proklamację gwarantującą swobodne poruszanie się kupców portugalskich po ziemi angielskiej. W rok po tym zawarta została umowa handlowa, mocą której kupcy hrabstwa Londynu i portugalscy zabezpieczają sobie wzajemne świadczenia na formie przyjaźelskiej.

Po upływie lat kilkunastu Ferdynand, król portugalski, powołując się na prawa po babce wystąpił z pretensjami do wakującego po śmierci Pedrosa I tronu kastylijskiego. W toku różnego rodzaju powikłań politycznych i sporów rodowych, papież Grzegorz XI z tytułu swego rozjemstwa jako najwyższy ówczesny autorytet zadecydował, że Ferdynand winien zrezygnować z zamiaru oraz poślubić córkę swego rywala Henryka. Pokój zawarty nie był długotrwały; nie doszło również do małżeństwa z infantką Kastylii.

W międzyczasie zjawił się jako nowy pretendent John Gant, książę Lancaster, ożeniony z córką zmarłego Pedrosa. Ferdynand, któremu historia nie bez słuszności nadała przydomek «Inconstante» (niestały) przyjął propozycje angielskiego księcia, łącząc się z nim przeciwko Kastylii i Aragonii. W lipcu 1372 r. zawarto umowę zobowiązującą Ferdynanda do zbrojnego poparcia Anglika na koszt własny przeciwko obu królestwom. Zmienne koleje wojny, w szczególności zajęcie Lizbony spowodowały ponowną interwencję papieską. Dnia 7 kwietnia 1373 zawarty został pokój, w lipcu tegoż roku potwierdzono powyższą umowę w Londynie, zawierając przy tej okazji przymierze wojskowe między Anglią a Portugalią, rozciągające się na lądy i morza.

Po śmierci Ferdynanda wdowa po nim została regentką państwa. Wybuchła nowa wojna wywołana przez Kastylię, a po śmierci regentki syn Ferdynanda Don Joao Aviz stanął na czele obrońców. Wybrany następnie królem odnosi przy pomocy angielskiej decydujące zwycięstwo. W 1386 r. zawarto między obu zaprzyjaźnionymi państwami nowy pakt w Windsorze, rozszerzający podstawy aliansu. Joao zobowiązał się poprzeć księcia Lancaster w pretensjach jego do tronu Kastylii, John Gant zaś oddaje Joao I córkę swą Filipkę za żonę. Anglia udziela Portugalii pomocy celem skutecz-

niejszego zwalczania pretendenta kastylijskiego Do i Diniza. Następujący po, sobie królowie angielscy Henryk IV, V, VI, potwierdzili pakt Windsorski.

Od tej pory przyjmowała Anglia często udział w wojnach portugalskich. W 1415, dzięki poparciu Henryka V, zajęli Portugalczycy Ceutę. Gdy Filip II hiszpański pragnął zasiąść na wakującym tronie portugalskim wysłała Anglia swą flotę, celem poparcia pretendenta portugalskiego Don Antonia.

W czasie 60-letniego zatargu z Hiszpanią zasiadł na tronie portugalskim Joao IV, z domu Braganza uznany przez Karola I za prawego władcę. Zatarg między koroną a parlamentem w Anglii uniemożliwił udzielenie pomocy sojusznikowi, stosunki jednak kontaktowały się nadal przyjaźnie. W 20 lat po tym Karol II poślubił Katarzynę Braganza, siostrę króla portugalskiego Alfonsa V przyczym w posagu otrzymała Anglia 500 tysięcy funtów szterlingów, Bombay i Tanger (1663). Dzięki pomocy angielskiej zmuszono Hiszpanię w r. 1668 do zawarcia pokoju i uznania niezawisłości królestwa portugalskiego.

W dalszym rozwoju stosunków nastąpiła ścisła współpraca na polu gospodarczym. W r. 1703 wysłana do Portugalii komisja angielska pod przewodnictwem lorda Merthuen doprowadziła do podpisania układu handlo-

wego zobowiązującego obie strony na wieczne czasy do wzajemnych świadczeń natury ekonomicznej. Stosunki handlowe Portugalii z Francją zostały rozluźnione. Odtąd portugalskie wina w Anglii a towary tekstylne angielskie w Portugalii korzystały z obniżonej taryfy celnej. Wywóz portugalski do Anglii przybrał ogromne rozmiary. Portugalczycy zarzucili inne gałęzie własnej produkcji byle tylko obesać rynki angielskie winem i korkiem, w następstwie czego zmuszeni byli przywozić z Anglii i kolonii angielskich żywność.

W wojnie z Hiszpanią (1704 r.) otrzymała Portugalia do dyspozycji posiłkowy korpus angielski w sile 10.000 ludzi. Stosunki między obu krajami kształtowały się przez cały przeciąg XVIII i XIX w coraz przyjaźniej, zobowiązując obie strony do udzielania sobie wszelkiego rodzaju pomocy, jaką sytuacja polityczna uczyniła potrzebną.

W poprzedniej wojnie światowej Portugalia zaangażowała się też czynnie, głównie w tym celu, aby wykazać swoją polityczną łączność z Anglią. Obecne neutralne stanowisko Portugalczyków nie narusza, rzecz prosta w niczym ewolucyjnych zasad tradycyjnego aliansu, ostatnia zaś decyzja w kwestii wysp Azorskich jest logiczną konsekwencją przymierza, który stał się podstawą portugalskiej polityki zagranicznej.

ADAM MARKIEWICZ

## Polityka podatkowa w Stanach Zjednoczonych

Świeża nowela podatkowa, którą dopiero co wniósł minister finansów Roosevelta, Morgenthau, jako piąte wielkie uzupełnienie norm podatkowych tej wojny w amerykańskim Kongresie wywołało opozycję swoimi daleko idącymi żądaniami. Krytyka zwraca się przede wszystkim przeciwko żądanej przez rząd podwyżce podatków dochodowych, która łącznie z nowo wprowadzonym poprzedniej jesieni t. zw. »podatkiem zwycięstwa« w bieżącym roku gospodarczym 1943/44 winna wzrosnąć o 6,5 na 19,6 miliardów dolarów. Dochód z tego źródła wynosił tylko jeden miliard dolarów w ostatnim roku przed wybuchem tej wojny.

Zamierza się uzyskać nowe liczne wpływy, najsilniej godząc w kapitalistów, przez podwyższenie stawek podatków dochodowych. Częściowo także zostaną dotknięte dolne warstwy dochodowe przez dalsze zredukowanie wolnej podatkowo granicy dochodów. Ta została dla bezdzietnych małżeństw poraz pierwszy w połowie r. 1940 obniżona z 2500 na 2000 dolarów, potem w lecie 1941 na 1500 dolarów, w jesieni 1942 na 1200 a teraz na 1000 dolarów. Tym samym będzie ona doprowadzona do stanu, który leży poniżej dzisiejszego minimum zarobku amerykańskich pracowników przemysłowych, szczególnie czynnych w produkcji zbrojeniowej.

Ilość obowiązków do płacenia podatku dochodowego Amerykanów, która tak bardzo mocno powiększyła się z 3,3 milionów przed tą wojną na przeszło 40 milionów

w tym roku, skutek realizacji przewidzianej dalszej redukcji wolnej podatkowo granicy pomnoży się wydatnie.

Przewidziany jest w nowym programie podatkowym między innymi jeszcze wpływ 10,3 miliardów dolarów z podatku od zysków wojennych, jak i wzrost opłat od konsumpcji z 2,5 na 6,4 miliardów dolarów.

Ogółem oczekuje amerykański skarb na podstawie nowych podwyżek podatkowych w bieżącym roku fiskalnym w zwyczajnych dochodach państwowych 48,9 miliardów dolarów wobec 23,4 miliardów dolarów w r. 1942/43 12,9 miliardów dolarów w 1941/42 i 5,7 miliardów dolarów w 1938/39.

Wydatki państwowe wzrosły wobec 9,2 miliardów dolarów w r. 1938/39 na 12,7 miliardów w r. 1940/41 skacząc z chwilą przystąpienia Ameryki do wojny na 32,6 miliardów dolarów w r. 1941/42 i 78,2 miliardów dol. w 1942/43, a na rok 1943/44 są oceniane na 104,1 miliardów dol. Deficyt budżetowy Stanów Zjednoczonych według tego powiększył się z 3,5 miliarda dolarów w r. 1938/39 na 54,8 miliarda dol. w 1942/43 a w bieżącym roku budżetowym mimo nowej szczególnie ostrej podwyżki podatkowej dozna jeszcze dalszego wzrostu na 55,2 miliardów dol.

Z bardzo nieprzychylnym przyjęciem spotkał się projekt podatkowy Morgenthaua także na Wallstreet, Już z początkiem miesiąca października okazało się na rynkach akcyjnych po pokryciu zleceń ultimowych dość

powszechne wahanie, skłonność do osłabienia, które wzmogło się w przebiegu przeszłych tygodni przy początkowo bardzo małym lecz dostrzegalnie wzrastającym zaofiowaniu. Wyjaśnić tu wypada, że zlecenia ultimowe polegają na przedstawieniu takich papierów wartościowych jak akcje, weksli i dewiz, czyli weksli na zagranicę, które posiadają termin zapłaty na końcu miesiąca, a więc w dniu 30-go w celu pokrycia przez zobowiązanych do tego kontrahentów.

Podczas gdy dług związkowy Stanów Zjednoczonych od ich przystąpienia do wojny pośpiesznie rośnie i w pierwszych 9-ciu miesiącach bieżącego roku narósł nawet o 55 miliardów do wysokości 161 miliardów dol., pozostałe publiczne jak i prywatne zadłużenie w Ameryce w przeszłym roku po pierwszy od dłuższego czasu spadło,

Wynosiło ono z końcem 1942 — 129,2 miliardów wobec 132,8 z końcem roku 1941. Spadły długi pojedynczych stanów i gmin o 0,6 na 15,7 miliardów, długoterminowe prywatne długi o 0,9 na 75,2 miliardów, pomiędzy tym zadłużenie handlu i przemysłu zmniejszyło się do wysokości 40,7 miliardów dol., rolnictwa do 6, i w końcu krótkoterminowe prywatne zadłużenie do 38,3 miliardów dol.

Jeżeli chodzi o cel powyżej nakreślony polityki podatkowej Stanów Zjednoczonych, jasnym jest, że przeznaczeniem podniesienia dochodów państwowych jest sfinansowanie wydatków wojennych. Do tego celu zdąża rząd Stanów przez objęcie nowymi normami wszystkich zwiększonych dochodów i zysków powstałych w skutek wzmoczonej produkcji materiałów wojennych.

ZYGMUNT BOHUSZ-SZYSZKO

## SAMOTNA PLACÓWKA

Drużyna plutonowego Jelonka dozorowała brodu na rzece Bzurze, odległego o 4 km od skrajnego lewego skrzydła dywizji. Brzegi rzeki w tym miejscu były płaskie i dość gęsto porośnięte krzakami olszyny. Wąska, polna droga, prowadząca przez bród, widoczna była po tamtej stronie tylko na małej przestrzeni. Szerokość rzeki nie przekraczała w tym miejscu 60 m, lecz torfiaste brzegi i grząskie dno uniemożliwiały przejście przez nią poza brodem.

Drużyna zajmowała stanowiska po obu stronach drogi. Strzelcy, ukryci w kępach krzaków, byli zupełnie niewidoczni; erkaemy i przydzielone do drużyny cekaemy trzymały bród pod krzyżowym ogniem i miały świetne warunki ognia na brzeg przeciwny.

Placówkę zaciągnięto w godzinach południowych, a ponieważ poprzedniej nocy drużyna nie brała udziału w nocnym ataku na Łowicz, przeto była wypoczęta i syta. Paręset metrów z tyłu znajdowała się dość duża zagroda, więc o jaja i mleko, a nawet o coś bardziej solidnego do jedzenia nie było trudno. Żołnierze po dwóch po trzech, udawali się tam na wypoczynek i posiłek.

Dwa czy trzy razy w ciągu dnia zjawiały się na przedpolu drobne patrole piesze nieprzyjaciela, lecz po wymianie kilku strzałów znikwały w krzakach. Broń maszynowa drużyny nie otwierała ognia i nie zdradzała swej obecności.

Zbliżał się wieczór. Pogodny, wrześniey wieczór polski. Od wody pociągnęło chłodem. Na łąkach nadbrzuzańskich podnosić się zaczęły przejrzyste szmatki mgieł, czepiających się każdego krzaczka i zacierających kształty przedmiotów. Zmierch otulał coraz bardziej lasy i wzgórza. Dalsze horyzonty kryć się zaczęły przed okiem obserwatorów. Niebo na wschodzie coraz bardziej nasiąkało ciemnym granatem, lecz na zachodzie jaśniała jeszcze purpurą zorzy i łunami dalekich niewygasłych pożarów. To płonęły wioski i kolonie w okolicach Łowicza. Przez cały dzień toczyła się tam zacięta walka. Niemcy, zaskoczeni zdobyciem przez Polaków miast

i przeprawą przez Bzurę, przywieźli samochodami świeżą 18-tą dywizję piechoty i rzucili ją do kontrataku. Dywizja ta, wspierana przez batalion czołgów, kilka eskadr lotniczych i ciężką artylerię, trzykrotnie uderzała na stanowiska polskie i trzykrotnie została krwawo odparta.

Drużyna Jelonka dobrze słyszała odgłosy tej walki, a jej wzmaganie się i słabnięcie było natychmiast komentowane przez żołnierzy.

Obecnie walka ustawała tam wyraźnie. Kolejno zamilkły cekaemy, zamarł gdzieś w oddali brzęczący ton samolotu, coraz częściej i na dłużej powstawały przerwy w basowym głosie dział. Jedynie rakiety coraz liczniej wzbijały się w przestworza, rozpryskując się bukietami gwiazd białych, zielonych i czerwonych. Oddziały i patrole niemieckie dawały w ten sposób znać, gdzie się znajdują, lub też żądały ognia artylerii.

Jelonek zmienił na noc rozmieszczenie drużyny, wysłał gońca z meldunkiem do kompanii i po załatwieniu wszystkich związanych z tym czynności, udał się na stanowisko cekaemów. Karabinowy, kapral rezerwy Marciniak, w cywilu mistrz piekarski z Grudziądza i dawny znajomy plutonowego Jelonka, z dwoma innymi strzelcami rozbierał się właśnie na dworze.

— Zwariowałeś pieronie? Kapać się będziesz? — zapytał szeptem zdumiony Jelonek.

— Wykapać się też nie zawadzi, chociaż woda zimna. Ale ja co innego obmyśliłem. Jak byłem za dnia w tym gospodarstwie co jest za łąką, widziałem tam dwie brony. Zębate cholery. Przyciągnęliśmy je tutaj i położymy zębami do góry w pół brodu. Jak s... syny z tamtej strony zechcą przechodzić przez bród, to zaś wliżą na te brony. To ci będzie zabawa — również szeptem odpowiedział Marciniak.

— Wymyśliłeś fajno, tylko hałas nie róbcie, bo mogą być w krzakach i ustrzelą nas jak kaczkę.

Trzy półnagie postacie zniknęły w mroku. Przez pewien czas cichy plusk wody i sapanie świadczyły, że

zamiar Marcinięca wprowadzono w czyn. Wkrótce znów zapanowała cisza. Kapral i towarzyszący mu żołnierze wrócili szcękając zębami z zimna.

Wieczór stawał się coraz ciemniejszy i chłodniejszy. Strzelcy włożyli płaszcz, skulili się w sobie i siedzieli, lub leżeli grupami po trzech, czterech, grzejąc się wzajemnie.

Czujki nad wodą zamieniły się w słuch, łowiąc podejrzliwie każdy szmer czy trzaśnięcie gałązki po tamtej stronie rzeki.

Gdzieś z prawa rozległo się ciche trzykrotne gwizdanie. Był to umówiony znak. Jelonek odpowiedział i podszedł kilka kroków na spotkanie, sądząc że wraca goniec. Z ciemności wyłoniły się dwie postaci. Był to porucznik dowódca plutonu, z przewodnikiem strzelcem.

— Co u was słychać, Jelonek? — zapytał porucznik

— Pokój, panie poruczniku. Szwabów niema. Siedzimy i czuwamy. Nanoc wysunąłem dwie czujki nad wodą, zmieniłem stanowisko broni maszynowej, a drużynę trzymam tutaj w kupie. A co tam pod Łowiczem, panie poruczniku?

— Pod Łowiczem obronił się, ale widocznie gdzieś coś nie klapuje, bo cała dywizja dostała rozkaz opuścić miasto i bronić się za rzeką. Tutaj mają przyjść nad ranem oddziały 26-tej dywizji i złuzują was. Podobno Niemcy chcą nas zahaczyć od lewego, od Sochaczewa. Musicie dobrze uważać przez noc, bo napewno i tu będą chcieli przejść rzekę. Wzmocnić was nie mogę, a dopomóc w razie czego też trudno, bo jesteście daleko. Będę tu do was przysyłał patrole łącznikowe, tylko nie postarzajcie się pociemku. Zluzować was powinni koło godz. 3 nad ranem. Dołączycie wtedy do plutonu. Będę przy rozwalonej cegielni, wiecie?

— Tak jest, panie poruczniku, trafię.

— Amunicji i granatów wam nie brak?

— Wystarczy, granatów każdy ma po sześć sztuk.

— To dobrze. Pilnujcie się więc i pamiętajcie: nie puszczać Szwabów przez rzekę. Jakby było wam tu bardzo ciężko — walcie czerwoną raketę. A nie zapomnijcie wysłać od czasu do czasu patrol w lewo wzdłuż rzeki. Trzymajcie się.

Uścisnęli sobie mocno dłonie, i porucznik wraz z towarzyszącym mu strzelcem wsiąkli w ciemność jak za czarną zasłonę.

Jelonek nic nie potrzebował zmieniać, wyznaczył jedynie trzech strzelców na patrol wzdłuż rzeki, wskazał im jak daleko mają dojść, zalecił szczególnie ostrożność w posuwaniu się i wyprawił. Sam znowu poszedł do Marcinięca.

Poświadczenie coś nieznanego narastało mu w duszy. Ni to tęsknota, ni to smutek, ni to niepokój. Już kilka razy to odczuwał, gdy zostawał sam, i nie mógł sobie dać z tym rady. Unikał więc samotności. Czasami, gdy drużyna jego nie brała udziału w walce, kiedy mógł wypocząć miał czas na rozmyślanie, zrywała się w nim nagle szalona tęsknota za domem i rodziną pozostawioną w Grudziądzu. Jak żywe stawały przed nim postaci żony i dzieci, a wyostrzona pamięć oddawała obrazy niedawnej przeszłości z bolesną dokładnością. Umysł nie mógł pojąć tego, że w jednej chwili, za jednym podmuchem wojny

wszystko zmieniło się, wszystko zapadło w nicość wszystko rozsypało się w proch. I nic na to poradzić nie można. I człowiek jest bezsilny. Jest naprawdę bezsilny, jak liść pędzony przez huragan. Uczucie bezsilności zmieniało się powoli w gniew, potem w nienawiść i zawziętość przeciwko Niemcom. Marcinięca dla Jelonka stanowił w drużynie jak gdyby ostatnią widomą część tego jego dawnego świata. Znali się, bywali u siebie, zjedli razem niejedną bochenek chleba, wypieczony w piekarni Marcinięca, i wypili razem niejedną butelkę wódki. Przede wszystkim zaś doskonale rozumieli się, gdyż byli z jednego miasta i z jednej dzielnicy. Żołnierze lubili ich odbydwóch za spokój i odwagę w walce, za koleżeński stosunek i troskliwość. Drużyna zresztą składała się z samych Pomorzaków więc mówili ze sobą jednym językiem, mieli podobne zwyczaje, obyczaje, a dwa tygodnia wojny zespoliły ich w małą zgraną rodzinę. Los był dla nich łaskawy, bo dotychczas, pomimo kilku bardzo ciężkich walk, straty wyniosły jednego zabitego i jednego rannego.

Jelonek posuwając się powoli i ostrożnie, odnalazł stanowisko karabinu maszynowego, położył się przy Marcinięcu i z ucha do ucha powtórzył mu wszystko co usłyszał od porucznika.

Gdzieś daleko z prawa padały od czasu do czasu pojedyncze strzały karabinowe, lub szły krótkie serie erkaemów. Nie trwało to jednak długo.

Bez żadnego wstępu, zupełnie niespodziewanie rozpełtała się tam nawałnica ognia.

Odezwały się naraz działa, moździerze, karabiny maszynowe i karabiny zwykłe. Na ciemnym niebie widać było dokładnie migotliwe odbicie strzałów armatnich i rozprysków pocisków. Głos tej zaciętej walki szedł gładko po wodzie, uderzał w ściany lasów, odbijał się echem, wypląsał ciszę z każdego zakątka nocy.

Jelonek i Marcinięca mimowoli poderwali się z ziemi i obrócili twarzami w tamtą stronę.

— Zwąchali dranie, że odchodzimy i atakują — pomyślał głośno kapral.

Tak było w istocie. Ruchu odwrotowego całej dywizji a szczególnie czterech dywizjonów artylerii, nie można było ukryć przed wrogiem, znajdującym się w odległości zaledwie czterystu — pięciuset metrów od polskich stanowisk. Niemcy uderzyli natychmiast wszystkimi siłami, jakie mieli pod ręką. Trzy bataliony, po jednym z każdego pułku, osłaniające odwrót, przyjęły to uderzenie, lecz powstrzymać go nie mogły i powoli zaczęły się cofać w stronę miasta. Walka bardzo prędko zamieniła się w szereg niezależnych od siebie bitew, gdzie kompanie, plutony, a nawet drużyny polskie na własną rękę przechodziły do przeciwwuderzeń na bagnety i granaty ręczne. Dywizja odeszła za rzekę, nie stracono ani jednego działa, żaden z oddziałów niemieckich nie zdołał przekroczyć Bzury wślad za Polakami, lecz te trzy bataliony, osłaniające odwrót, zostały prawie całkowicie stracone.

Drużyna Jelonka wsłuchiwała się z napięciem w odgłosy tego boju. Żołnierze orientowali się po sile ognia, że idzie tam rozgrywka na śmierć i życie. Ciemności, zupełnie odosobnienie i ten daleki koncert śmierci —

biły falami niepokoju w serca żołnierskie i powodowały nerwowe drżenie. Uwaga placówki odwróciła się od rzeki, brodu i przeciwległego brzegu.

Głośny okrzyk bólu na rzece i wślad za nim jeszcze głośniejszy strzał czujki przywróciły drużynie świadomość jej położenia i zadania.

Marciniec jednym susem znalazł się przy karabinie maszynowym.

Czas był wielki. W ciemności na brodzie słychać było chlupotanie wody pod nogami znacznej liczby ludzi. Brony Marcinića zrobiły jednak swoje. Ostre zęby poprzez buty kaleczyły boleśnie stopy idących. Ktoś się przewrócił z wielkim pluskiem, a strzały czujek dopełniły niespodzianki wywołując zamieszanie.

Obydwa polskie karabiny maszynowe zagrały prawie równocześnie, bijąc z krótkiej odległości w patrol niemiecki złożony z kilkunastu ludzi.

Nowe pluski padających do wody ciał, krzyki rannych, komendy — trwały to wszystko przez krótką chwilę, poczem znowu nad rzeką zapanowała cisza.

Kilku Niemców, którzy zdołali uciec na brzeg, początkowo nawet nie strzelało. Widocznie byli tak przerażeni i zaskoczeni wypadkami, a ponadto przemoczeni do ostatniej nitki, że wywiali gdzieś daleko od brzegu.

Gdy strzały umilkły, Jelonek usłyszał odgłosy walki w kierunku, gdzie była reszta jego kompanii. Zrozumiał, że Niemcy nie mogą przejść przez rzekę pod Łowiczem, szukają możliwości przeprawy gdzieś wyżej. Spokój przy brodzie nie trwał długo. Trzask łamanych gałęzi, odgłos kroków, brzękanie rynsztunku w głębi przeciwległego brzegu, sygnalizowały zbliżanie się większego oddziału wroga.

Jelonek podesunął swych ludzi bliżej wody i czekał. Po szmerach z tamtej strony widział, że Niemcy są już przy samym brzegu. Słyszał jak ciągnięto jakiś cięższy sprzęt. Przypuszczał, że są to cekaemy. Noc zaczęła się trochę rozwidniać, gdyż zbliżała się godzina wschodu księżyca. Była to okoliczność dla drużyny pomyslna, wstęga bowiem wody wyraźniej teraz odcinała się od brzegów, a każda postać przechodząca wbród byłaby zupełnie dobrze widoczna.

Dowódce drużyny nurtowała teraz tylko jedna myśl — co będzie, jeśli Niemcy przeprawią się gdzieś niedaleko od brodu i uderzą na niego zboku. Obronić się będzie trudno, a do świtu i nadejścia oddziałów 26-ej dywizji było jeszcze daleko. Każda minuta, upływająca w ciszy i spokoju, była dla niego ulgą, ale minuty te wlokły się nieprawdopodobnie powoli. Na świecącej tarczy zegarka, wskazówki, zdawało się, wstrzymały swój bieg.

Po drugiej stronie szmery i hałasy ustały.

Niemcy widocznie zajęli stanowiska i czekali.

Jeden z żołnierzy Jelonka zakaszłał. Kilka błysków bliski gwizd kul. Huk strzałów rozdarł ciszę. Drużyna mocniej przywarła do ziemi i nie odpowiadała.

Znowu błyski, i seria cekaemów poszła w noc. Potem druga i trzecia i czwarta seria szły jedna za drugą. Odezwały się jeszcze dwa inne karabiny maszynowe. Kule w tych pierwszych ułamkach sekundy po opuszczeniu luf karabinowych gwizdały ostrym złym tonem, klaskały po gałkach krzaków, mlaszcząc wbijały się w wilgotną

ziemię, rykoszetując ulatywały w dal z jęklwym zamierającym śpiewem. Szły jednak za wysoko i dotychczas nie znalazły jeszcze żywego celu.

Pod osłoną ognia kilka ciemnych sylwetek weszło do wody, i zginając się, by mniej być widoczne, jęło posuwać się ku placówce. Szły ostrożnie, obmacując nogami dno. Śnać ludzie ci byli już uprzedzeni o zdradzieckiej pułapce z bron. Doszli nareszcie do niej i zatrzymali się. Było widoczne, że chcą odrzucić bronę nabok.

Na tę chwilę czekał Marciniec. Seria jego cekaemów poszła bez pudła i wykreśliła z rachunku wojny tych kilku śmiałków na rzece. Lecz stanowisko karabinn maszynowego było zdradzone. Cały ogień nieprzyjaciela skupił się teraz na tym jednym punkcie.

Marciniec przerwał ogień, spłaszczyl się jak tylko mógł i znowu czekał. Niektóre kule szły tak blisko, że czuł ich podmuch na twarzy. Głośne stuknięcie i krótki urywany jęk gdzieś obok — to jeden z amunicyjnych dostał w głowę. Marciniec podczołgał się do niego i przekonał się, że pomoc jest niepotrzebna. Wziął więc dwie skrzynki z amunicją i wrócił do cekaemu. W ciemności trudno było zorientować się w stratach.

Niemcy dwukrotnie próbowali przejść przez bród, lecz za każdym razem odrzucał ich z powrotem ogień broni maszynowej. Nastąpiła potem dłuższa cisza, rzadka tylko przerywana pojedynczymi strzałami lub krótkimi seriami.

Jelonek skorzystał z tej przerwy i sprawdził stan drużyny. Było dwóch zabitych i dwóch lekko rannych. Następnie poczołgał się do Marcinića i powiedział:

— Nie inaczej, tylko Niemcy szukają przeprawy gdzieś zboku. Z prawej strony będziesz miał dwóch strzelców i dwóch swoich amunicyjnych. Kazałem im podpełznąć na jakieś 100 metrów i obserwować bród rzeki. Ja sam z resztą drużyny i erkaemem odsunę się trochę w lewo. Świt już niedaleko. Nasi powinni wnet nadejść.

Wciąż, czołgając się, Jelonek z dziesięcioma żołnierzami i erkaemem oddalił się od brodu, a potem, zachowując największą ciszę, zaczął posuwać się wzdłuż brzegu rzeki i w dół jej biegu. Zaczynało już szarzeć. Niewyraźne kształty spod krzaków zarysowały się ciemnymi, ledwo wyczuwalnymi plamami.

Po odejściu około czterystu metrów drużyna znalazła się na krawędzi otwartej łąki, stanowiącej jak gdyby polanę, ciągnącą się prostopadle do brzegu. Jelonek postanowił zająć tu stanowiska ogniowe. Żołnierzy rozmieścił w małych odstępach za krzakami, a sam z erkaemem ulokował się przy ścieżce biegnącej wzdłuż brzegu. Gdzieś przed sobą miał patrol z trzech ludzi, wysłany poprzednio z placówki.

Instynkt i tym razem go nie zawiodł. Niemcy znaleźli na przeciwnym brzegu ukrytą w krzakach małą łódkę rybacką i natychmiast zaczęli przeprować się przez rzekę. Patrol Jelonka natknął się na nich, kiedy kilkunastu Niemców było już po tej stronie. Spotkanie nastąpiło na tak krótką odległość i było tak niespodziewane, że patrol o mały włos byłby dostał się do niewoli. Niemcy bowiem przeprowali się bardzo cicho. Kilka beładnych strzałów, gwałtowny skok w gęstwinę krzaków, i w następnej chwili wszyscy trzej żołnierze

wyrywali co sił w nogach w kierunku placówki. Po kilku minutach natknęli się na drużynę i zameldowali Jelonkowi o obecności Niemców na tym brzegu rzeki. Ledwie zdążył Jelonek wysłuchać ich słów i wysłać na lewe skrzydło drużyny, gdy na polanie zamajaczyły sylwetki skradających się krok za krokiem Niemców.

Drużyna bez rozkazu otworzyła ogień do nich Niemcy zalegli. Nie mieli oni zwyczaju uderzania na bagnety, nawet przy spotkaniach na tak krótką metę. Po drugiej stronie polany przybywało ich coraz więcej. Ogień wzmagał się. Odezwały się erkaemy. Jelonkowi i jego drużynie stawało się coraz goręcej.

Rozwidniło się, tak że dokładnie widać było krzaki zajmowane przez wroga i drugi brzeg rzeki. Stanowiska zajęte przez drużynę pociemku, okazały się w tych warunkach całkiem złe. Krzaki były rzadkie i małe, grunt równy i bez kęp. Osłona pod przed obserwacją była bardzo słaba. Ochrona przed kulami żadna.

Odeść znaczyło oddać bród Niemcom. Pozostawało wytrwać doostatka. Rozumieli to żołnierze, rozumiał to Jelonek. Żaden z drużyny nie obejrzał się za siebie i żaden nie skorzystał z okazji wyrwania do tyłu. Strzelali rozważnie i na pewniaka, granaty ręczne mieli przygotowane pod ręką.

Minuty mijały za minutami, lecz Jelonek stracił już rachubę czasu. Leżąc za krzakami strzelał bez przerwy w kierunku głosu karabinów maszynowych wroga. Obok, erkaem walił prawie bez przerwy długimi seriami. Lufa rozgrzała się do niemożliwości, lecz o zmianie jej mowy być nie mogło.

Ogień drużyny zaczął słabnąć w sposób widoczny. Co chwila któryś z żołnierzy opadał bezwładnie twarzą w wilgotną trawę, by nie podnieść się już nigdy. Strzały zza rzeki, idące wzdłuż frontu drużyny, utrudniły jeszcze bardziej jej położenie.

Skolei opadł karabinowy przy erkaemie, trafiony dwiema kulami, Jelonek, ranny w głowę, zastąpił go, Krew zalewała mu oczy. Ocierał ją rękawem i strzelał. Nikt mu już nie podawał magazynków, gdyż żaden z amunicyjnych nie był w stanie poruszyć się o własnych siłach.

W gorączce walki Jelonek nie zauważył, że ogień osłabł nagle i że pośród Niemców powstało zamieszanie. Ogłosy strzałów i walki dobiegały teraz z głębi terenu. Od północy nadchodziły oddziały 26-ej dywizji. Gdy plutonowy to zrozumiał, poczuł, że zapada w nicość Zembla.

W tym samym czasie przy brodzie staczał walkę Marcinieć. Staczał ją samotrzeć, gdyż tyłu zostało ich przy życiu. Ranny czterokrotnie, niezdolny do poruszenia przestrzelonymi nogami, leżał oparty łokciami o podstawę karabinu i całym wysiłkiem woli opanowywał niemoc, ogarniającą jego ciało. Strzelał do czasu, aż szczęknęło po drugiej stronie rzeki działo przeciwpancerne, sprowadzone przez Niemców. Pierwszy pocisk rozbił karabin maszynowy i zdjął Marcińcowi hełm z głowy z połową czaszki.

Straty drużyny w tej walce wyniosły 12 zabitych 6 ciężko rannych i 4 lżej rannych.

Niemcy w tym dniu Bzury nie przekroczyli.

## „BASIC ENGLISH“

Sama zasada, że powinien być przyjęty jeden wspólny język jako środek porozumienia w stosunkach międzynarodowych nie budzi zastrzeżeń. Spór toczy się tylko o to, któremu językowi przyznać rolę światowego sposobu porozumiewawczego; czy jednemu z języków sztucznych jak »Volapük«, »Ido« i najpopularniejszy z nich »Esperanto« czy powrócić do uniwersalnego języka dawnych wieków — łaciny — czy też użyć takiego języka współczesnego, którym wielka liczba ludzi włada i potrafi nim porozumieć się.

Francuzczyzna, która była od XVIII stulecia językiem dyplomacji straciła dziś na znaczeniu. Wprawdzie warstwy oświecone w wielu krajach władają językiem francuskim i uczą się go, jednak w światowym obrocie gospodarczym pierwszą pozycję zajmuje bezprzecnie język angielski; oprócz tego włada nim jako swoim językiem oczystym zwyż 200 milionów ludzi w Anglii, Stanach Zjednoczonych i angielskich dominiach oraz w koloniach. Pewne skrupuły podniesione przeciw angielszczyźnie wiązały się jedynie z dużymi trudnościami które nasuwa mowa angielska i z którymi nie upora się łatwo ani kupiec ani nawet uczony. Z tych zastrzeżeń zrodził się pomysł, aby język angielski uprościć i w nowej uproszczonej postaci rozszerzać go jako pomocniczy język międzynarodowy.

Pierwsza próba była pochodzenia szwedzkiego i miała za autora Zachrossona. Zreformowany język angielski »Anglic« różnił się od języka oficjalnego przede wszystkim ortografią zmienioną na zasadach fonetycznych. Były już jednak dawniej próby zmienienia ortografii angielskiej robione przez samych Anglików; wszystkie one jakoś nie przyjęły się i Anglicy pozostali przy swoim sposobie pisania. Trudności w opanowaniu mowy angielskiej przez obcych wypływają przy tym nie tylko z skomplikowanej ortografii, lecz z nielatwej do opanowania składni i utartych zwrotów stylistycznych.

Twórcy drugiej próby t. zw. »Basic English« z Ogdenem na czele usiłują uprościć język pod innym względem. Redukują oni niezwykle bogaty zapas słów angielskich do stosunkowo małej liczby słów nieodzownych, podstawowych. Celem ustalenia najczęściej używanych, nie dających się zastąpić słów przeprowadzono głównie w Ameryce obszerne badanie statystyczne. Jako materiał statystyczny obrano 5 tysięcy słów, które zebrano w grupy i kategorie, zależnie od stopnia częstego ich używania. Ogden przeprowadził równoległe podobną analizę statystyczną i jako rezultat swoich badań ogłosił słownictwo »Basic English« obejmujące 850 wyrazów. W uproszczonym również pod względem gramatycznym języku wydał Ogden słownik i szereg tekstów między innymi Biblię.

Na podobnych zasadach opierają się dalsze próby poczynione w Anglii, które podnoszą ilość »podstawowych« słów do 1490. Nie należy jednak zapominać, że jeżeli »Basic English« czy jakaś inna pokrewna metoda przynosi ułatwienia dla ludzi nie znających jeszcze języka angielskiego, to w razie przyjęcia uproszczonej

angielszczyzny pojawiłyby się odwrotne trudności dla tych dwustu kilkudziesięciu milionów ludzi, którzy umieją już po angielsku. Musieliby z kolei oni zacząć uczyć się używania wyłącznie tych 850 wyrazów, które uznaje metoda, »Basic English«.

Chwilowo sprawa posunęła się ogromnie. Naprzód dzięki temu, że zajął się nią rząd angielski. Premier Churchill w mowie w uniwersytecie Harvard oświadczył, że kwestią wprowadzenia w świecie w »Basic English« jako języka pomocniczego zajmuje się komisja urzędowo wyznaczona. Jest to dostatecznie wymowny dowód, że zagadnienie traktowane jest poważnie. Szanse łaciny i »esperanta« zmaleły, zanosi się zaś na to, że język angielski w tej czy innej postaci będzie środkiem porozumiewawczym w stosunkach międzynarodowych.

## MIEDZYKONTYNTENTALNE TRANSPORTY LOTNICZE

Nieodłączny od przyszłego świata jest obraz przyszłej międzykontynentalnej komunikacji lotniczej. W fantazji naszej przedstawiamy sobie błękit nieba zasłany wielomotorowymi olbrzymami, samolotami »pośpieszonymi« łączącymi różne części świata, latającymi »sleepingami«, kursującymi między Nowym Jorkiem a Warszawą lub spieszącymi z Londynu do Sydney. To marzenie z biegiem wojny przechodzi jednak w rzeczywistość szczególnie w dziedzinie transportów wojskowych. Zagadnienie transportów między Ameryką, Anglią, Rosją i Chinami nie znalazłoby po części odpowiedniego rozwiązania, gdyby nie organizacja linii powietrznych, których zasięg przekracza długość linii największych towarzystw lotniczej komunikacji handlowej w r. 1939.

Główna korzyść, wypływająca z dostaw drogą lotniczą, polega na ich szybkości. Konwój statków handlowych płynie z portów Stanów Zjednoczonych przez Przylądek Dobrej Nadziei do Indii cztery miesiące. Konwój czteromotorowych »Liberatorów« przebywa drogę z Baltimore do Bombaju w ciągu trzech dni. Nafta przewieziona statkiem z Zatoki Meksykańskiej do portu angielskiego spotrzebowuje na drogę 27 dni, — samolotem niespełna 20 godzin.

Z drugiej strony pojemność samolotu jest znacznie mniejsza niż statku transportowego. Zysk na czasie jest jednak tak duży, że podczas drogi morskiej do określonego celu i z powrotem, można odbyć 20—30 raidów powietrznych na tej samej trasie. W ciągu kampanii zeszłorocznej okręty amerykańskie, wiozące do Egiptu dla armii Montgomery'ego materiały techniczne, żywność, odbyły trzy rejsy. W tym samym czasie »Douglasy« i »Liberatory« przeleciały tę drogę 54 razy.

Powietrzne transporty mają również swoje słabe strony. Do wyprodukowania sześćdziesięciu samolotów czteromotorowych potrzeba znacznie więcej robotników i surowców niż do wykończenia jednego statku transportowego typu »Liberty« o wyporności 6.000 ton. Rozsyłanie

samolotów po całym świecie wymaga organizowania baz lotniczych i stacji benzynowych, które trzeba z kolei zaopatrywać i które wymagają technicznie wyszkolonych specjalistów. Najujemniejszą stroną lotniczych transportów jest wkońcu olbrzymie zużycie benzyny. Przewiezienie samolotem pięciu ton materiały wojennego z Nowego Jorku do Czung-Kingu wymaga trzydziestu pięciu ton benzyny.

Już obecnie lotniczy ruch transportowy jest bardzo rozgałęziony. Tej jesieni na setkach lotnisk pięciu części świata wielkie brązowe samoloty z białym krzyżem przybywają i odlatują bez przerwy. Do Chin, do Egiptu, do Irlandii, do Australii przywożą broń z Pensylwanii, gumy samochodowe z Brazylii, benzynę z Texasu. Piloci amerykańscy spożywają kolację w Londynie, śniadanie zaś następnego dnia w Nowym Jorku.

Część samolotów będących w użyciu to aparaty »Douglas DC 3« dawnych linii amerykańskiej komunikacji cywilnej, przerobione na modele wojskowe C—47. Na trasie transoceanicznej latają »Liberatory« — nie uzbrojone natomiast dla celów transportowych odpowiednio przerobione. Wychodzą one co miesiąca setkami z nowych fabryk położonych w stanie Texas i niezwłocznie podejmują służbę na liniach łączących San Francisco przez Alaskę z Czung-Kingiem, Chicago przez Grenlandię i Spitzberg z Moskwą oraz Nowy Jork przez Nowofundlandię z Londynem. Mają one promień działania 6.000 km., zdolność przewozową 10 ton i potrafią wznieść się do wysokości 12.000 m. co pozwala im przelatywać ponad pasem burz atmosferycznych i myśliwców nieprzyjacielskich. Przelatują — w godzinę 460 km — co umożliwiło im pobicie rekordów przelotu nad Atlantykiem i nad Oceanem Spokojnym. Droga z Nowej Fundlandii do Anglii trwa 6 godzin 40 minut, z San Francisco do Australii 35 godzin 53 minuty.

Doświadczenia wojennych transportów lotniczych będą bez wątpienia zużytkowane po wojnie przy zakładaniu linii międzykontynentalnych, które ożywią pokojowe stosunki handlowe i wymianę myśli w sposób, który niedawno wydawał się wytworem fantazji.

JERZY ZALESKI

Z CYKLU »PIEŚNI NIEZNANE«

## Wspomnienia

*Po kątach się rozsiadły dziwolągi wspomnień,  
jak pająki rozpięły swoje pajęczyny,  
pierz biła, podnoszona westchnieniem dziewczyny  
i ręka; jak liść brzozy, drżąca nieprzytomnie.*

*Niezmiennie krząca myśli złym hymnem koło mnie,  
ktoś winny, ktoś płaczący, ktoś może bez winy,  
lza jedna, blask patrzących w mgłę oczu matczynych,  
raz myśleć, a po latach rozgrzeszyć, zapomnieć!*

Dr. A. SPRYSZAK lek. wet.

# Szczepionki i ich zastosowanie

Niektóre choroby zakaźne — po ich przebyciu — pozostawiają odporność; mianowicie organizm ozdrowieńca wykazuje osobliwe właściwości, przeciwdziałające ponownemu chorowaniu na tą samą chorobę. Powstała odporność jest wynikiem zwycięsko zakończonej walki atakowanego organizmu z atakującym zarazkiem.

Naturalne zakażenia, w przebiegu których powstaje odporność, mogą być naśladowane przez sztuczne wprowadzenie do organizmu zarazków wywołujących odnośną chorobę. Oczywiście w takim przypadku wprowadza się zarazki w taki sposób przygotowane, osłabione lub zabite, aby nie mogły wywołać zbyt ciężko przebiegającej choroby. Zarazki te — w postaci szczepionki — wywołując odpowiednią reakcję odnośnych komórek — powodują powstanie sztucznego uodpornienia, podobnie, jak przybyta choroba.

Tą drogą otrzymujemy t. zw. odporność czynną w odróżnieniu od odporności biernej, polegającej na wprowadzaniu do organizmu gotowych ciał ochronnych, które zwykle są zawarte w surowicy czynnie uodpornionego zwierzęcia lub człowieka.

Zarazek — szczepionka — może być wprowadzony do skóry przez nacięcie jej, przez t. zw. skaryfikację, jak np. przy szczepieniu ospy, a może być wprowadzony także przy pomocy strzykawki. Podawanie szczepionek drogą doustną zwykle zawodzi, gdyż materiał szczepienny zostaje poddany działaniu soków trawiennych i strawiony. Jedynie szczepionka BCG Calmette'a, stosowana dla uodpornienia niemowląt przeciw gruźlicy, podawana jest doustnie, z pokarmem.

Najpowszechniejszym sposobem wprowadzania obcego ciała do organizmu — z pominięciem przewodu pokarmowego — jest zastrzyknięcie go przy pomocy odpowiedniej strzykawki zaopatrzonej odpowiednią igłą. Pierwszą do tego celu strzykawkę sporządził w r. 1831 lyoński chirurg Pravatz, ale dopiero od r. 1853 podskórne wstrzykiwanie morfiny i innych substancji zostało ogólnie poznane dzięki Wood'owi w Edynburgu.

Szczepienia są dokonywane — zależnie od potrzeby — doskórnice, podskórnice, domięśniowo, dożylnie lub do płynu mózgowordzeniowego. Dożylnie lub do płynu mózgowo-rdzeniowego szczepi się zwykle surowicę odpornościową w przypadku grożącego niebezpieczeństwa, dla natychmiastowego wwołania odporności (biernej).

Do czynnego uodpornienia używa się bądź zjadliwych zarazków, jakie spotyka się w przebiegu zarazy, bądź osłabionych, niezjadliwych, ale jeszcze żywych, bądź wreszcie zarazków zabitych.

Jeżeli zjadliwe zarazki dostaną się do organizmu inną drogą, niż to ma miejsce przy naturalnym szerzeniu się zarazy, mogą one działać łagodniej, nie wywołując śmiertelnego schorzenia, a pozostawiając odporność. W r. 1885 w Barcelonie Ferran szczepił ludzi podskórnice żywymi przecinkowcami cholery z dobrym skutkiem. Przy zarazie płuc była wstrzykuje się pod skórę ogona

zdrowego bydła płyn z płuc padłych zwierząt. Zaszczepione zwierzęta reagują gorączką, jednak nie padają, ale uodparniają się. Przy zakaźnym ronieniu bydła (choroba Banga) wstrzyknięcie młodemu bydłu (nieciężarnym jałówkom czystych kultur) zarazka wywołuje u nich stan odporności, zabezpieczając je w przyszłości od ronień. Zarazek influenzy świń, którego naturalną bramą jest błona śluzowa dróg oddechowych, po domięśniowym zastrzyknięciu go, wywołuje odporność bez wywołania choroby.

Szczepienia tego rodzaju (żywymi, pełnozjadliwymi zarazkami) mają jednak tę ujemną stronę, że rozprze-strzeniają zjadliwy zarazek, który dla nieszczepionych może być źródłem choroby. Dlatego też zarazki przeznaczone do szczepień ochronnych zwykle osłabia się, pozbawiając ich właściwości chorobotwórczych. Utrata tych właściwości może nastąpić pod wpływem różnych czynników chemicznych, fizykalnych lub przez dostosowanie się do organizmu innego rodzaju zwierząt. Zniesienie wzgl. zmniejszenie zjadliwości przez dostosowanie się zarazka do organizmu innych zwierząt wykorzystuje się przede wszystkim dla wytwarzania szczepionki przeciw wściekliźnie i przeciw ospie, zaś szczepionka BCC Calmette'a jest przykładem utraty zjadliwości zarazka pod wpływem pewnych czynników w sztucznej hodowli.

Dla ochrony przeciw tyfusowi brzuszemu stosuje się szczepionkę zawierającą zawiesinę bakterii tyfusowych, zabitych przez ogrzanie. Zwykle stosuje się ją w mieszaninie z zarazkami cholery, paratyfusu A i B (szczepionka «Tetra»), również zabitymi przez ogrzanie.

Po szczepieniu ochronnym przeciw tyfusowi brzuszemu powstaje odporność dopiero po 3—4 tygodniach od ostatniego zastrzyku. W pierwszych dniach po zastrzyku może nawet wystąpić zwiększona wrażliwość t. zw. faza ujemna. U ludzi zakażonych już zarazkami tyfusowymi szczepienie powoduje zwykle wybuch choroby. Powstała po szczepieniu odporność trwa jednak dość długo; w okresie panującego niebezpieczeństwa (wojna, praca w laboratorium bakteriologicznym) musi się szczepienie przynajmniej raz na rok powtarzać. Zdarzają się zachorowania na tyfus również u szczepionych, ale rzadziej i najczęściej przebieg jest łagodny.

Wojsko brytyjskie w czasie wojny z Burami nie było szczepione przeciw tyfusowi brzuszemu i wtedy na 200.000 żołnierzy zachorowało na tyfus 58.000 i w następstwie zmarło 8.000; należycie zaś zaszczepione wojsko brytyjskie w czasie wojny światowej miało wśród 2.000.000 żołnierzy 20.000 chorych na tyfus, z czego zmarło tylko 1000.

Dla uodpornienia przeciw tężcowi lub dyfterytowi, w przebiegu których główną rolę chorobotwórczą odgrywa toksyna, produkowana przez odnośne bakterie, stosuje się szczepienia przy pomocy odpowiednio zmieszanych toksyn.

Toksyna tężcowa pod działaniem formaliny traci zjadliwość, zachowując jednak zdolność wywołania od-

SÁRKÖZI GYÖRGY

Przełożył Tadeusz Fangrat

## Wierz w cud

*Kiedy wichur przygoni kłęby parnej ciepłoty,  
a nieba nagle światu zarechocą burz grzmiotem,  
gdy drzewa trwożnie kryją gałęziste ozdoby,  
a grad w morderczym spadzie włącza kwiat do grobu —  
wierz w cud.*

*Gdy noc ciepłem upojna wsi zsyła ciszy tchnienia,  
a w stogu, na klepisku pszenicy błogie śnienie  
przerwie płomień podobny purpurowym upiorom,  
gdy chłust w beczce na wozie, a dzwon huczy z uporem —  
wierz w cud.*

*Gdy ziemia wyda pomruk, tynk sypie, pęka sciana,  
gdy żona jak śmierć blada biegnie, by dziecko budzić,  
a koń twój tak się strwożył, że płacze głosem ludzi —  
wierz w cud.*

*Kiedy zły znak komety na niebie nagle błysnie  
nam grożąc, gdy wojownik kord łamie, na bok ciśnie,  
gdy wieszcz ostatnie słowa susłej jamie wyszeptal,  
a lud stary zwycięstwem tyran pragnie z deptać —  
wierz w cud.*

porności. Tak zmieniona toksyna nosi nazwę anatoksyny i stosowana była powszechnie w wojsku polskim dla uodpornienia koni przeciw zakażeniom tężcowym.

Lekarz wet. Ramon, twórca anatoksyny tężcowej, wskazał metodę tego szczepienia, które następnie przyjęto dla zapobiegania dyfterytowi u ludzi.

Przy szczepieniach wyżej nadmienionych, celem wywołania odporności, wprowadza się zarazki do organizmu niezakażonego. Mają one za zadanie uzbroić organizm w przeciwciała, nadać mu takie właściwości, aby mógł się obronić w przypadku inwazji odnośnych zarazków chorobotwórczych.

Stosuje się poza tym leczenie szczepionkami, polegające na wprowadzeniu zarazków zabitych do organizmu już zakażonego. Postępowanie, zdawałoby się, bezsensowne; pocóż do organizmu już zakażonego wprowadzać jeszcze zarazki choćby nawet zabite? Otóż stosowanie takiego szczepienia opiera się na poglądzie, że organizm walczy niekiedy przeciw ognisku zakażenia nie jako całość, ale przy pomocy tylko miejscowych sił, które okazują się czasami niewystarczające. Wstrzyknięcie odnośnych zarazków ma pobudzić do walki inne części ciała i wzmocnić przez to naturalny czynnik leczniczy. W tym celu stosuje się najczęściej t. zw. autoszczepionki t. j. wytworzone z bakterii, pobranych z chorego organizmu.

Na tych samych przesłankach oparte jest t. zw. bodźcowe leczenie, polegające na wstrzykiwaniu obcego białka (proteinoterapia) n. p. mleka, własnej krwi (autohemoterapia) i t. p. . . . Celem takiego leczenia jest pobudzenie sił obronnych organizmu, podniecenie istniejących w organizmie czynników, powołanych do walki z wrogiem najezdzącą, z bakteriami chorobotwórczymi.

## OBRAZKI OBOZOWE

CYRYL GONDAWA

### MANCIKA

Od pierwszej chwili zajęła w obozie poczesne miejsce. Przywieziono ją w słoneczny, wiosenny ranek wówczas jeszcze młodzieńczo smukłą, wiotką i — co najbardziej zwracało uwagę, — białą zupełnie i ponętnie gładką. To różniło ją od miejscowych czarnych, brudnych kudłaczów i od razu ustaliło jej pozycję wśród szerokich kół obozowiczów.

Targ był żywy i długi. Autochtoni z wielkim uporem, ale bez krzyż powodzenia starali się wysoką sronę — Zarząd Stołowni — nabić w butelkę. Wynosili pod niebo jej wielkie zalety: że zdrowa jak rydz, że ma świetny apetyt, wyjątkowo duży przyrost wagi, że spokojna jak baranek, że nie kochliwa, że... Zalety sypały się jak z rogu obfitości i zdawały się nie mieć końca. Słowom towarzyszyły szerokie gesty, litania pochwał często była przerywana uroczystymi zaklęciami i siarczystymi przekleństwami. Zabiegi te nie wywierały jednak większego wrażenia na chłodnych Polakach — cena szybko spadała, w czym nie miała rolę odegrało wino.

Istotnie, w pierwszych dniach zachowywała się wprost wzorowo. Apetyt miała bez granic. Co do temperamentu i charakteru też się wszystko zgadzało: łagodna, żadnych wybrków, kaprysów, samowoli — wprost baranek. Zarząd Stołowni był bardzo zadowolony z cennego nabytku a prezes, stary Karp wprost promieniał. Ktoś nazwał ją Manciką i ta nazwa przylgnęła już do niej.

Nagle wybuchła bomba. Pewnego dnia bowiem Mancika straciła apetyt, co więcej: przestała zupełnie jeść. Stała się niespokojna i napastliwa. Swym towarzyszkom nie dawała ani chwili wytchnienia. Podczas karmienia Mancika stała zdala od koryta i rzucała niecierpliwie łbem, a oczy jej latały niespokojnie dokoła. Była chuda i boki miała zapadnięte. Gospodarz zwrócił się do obsługującego żołnierza: — Co jej jest, Franciszku? — co ma być panie poruczniku!... zwyczajnie jak świnia: łacho się.

A Mancika rzeczywiście przeżywała wiosenny szal nabrała wstrętu do jada, do swych towarzyszek, do ludzi, do całego świata i tylko tęskniła...

Sprawa zainteresowała cały obóz i znalazła się na wokandzie najbliższego zebrania członków stołowni. Jakiś malkontent zgłosił interpelację: »Kto ponosi odpowiedzialność za kupno świni, która nie tylko, że się nie tuczy, ale przeciwnie — z dnia na dzień chudnie i w ten sposób naraża stołownię na stratę?«. Wywiązała się ożywiona dyskusja, w trakcie której imię Manciki padało bardzo często i kilkakrotnie zostało uwiecznione w księdze protokółów. Doszło do słownego konfliktu pomiędzy prezesem zarządu a gospodarzem. W konsekwencji stary Karp zgłosił swoją dymisję, ale jej nie przyjęto.

Kwestię ostatecznie zlikwidowała sama Mancika, która sprzykrzywszy sobie bezowocne wzdychania machnęła pogardliwie ogonem na zakazane sprawy i wzięła się do jedzenia z nowym zapałem.

W tym okresie serdecznie zaprzyjaźniła się z Rogalem, psem wprawdzie mocno pokracznym, ale mądrym i szczącym się wyższą psią edukacją — między innym doskonale służył. Znalazło się kilku wielbicieli Manciki którzy zaobserwowali jak Mancika pokonawszy zadziwiająco łatwo olbrzymi ciężar swej olbrzymiej masy, siadała na ogonie i zginając przepisowo przednie nogi, służyła wprost klasycznie. Ostrożni aż sceptycyzmu dziejopisowie obozowi nie mogąc naocznie sprawdzić prawdziwości tych sensoryjnych faktów, zaliczyli je do licznego stada obozowych kaczek.

Miała w obozie bardzo wielu przyjaciół, którzy ją często odwiedzali. Wizyty przyjmowała godnie, bez hałaśliwego entuzjazmu, ale bardzo chętnie. W takich chwilach rezygnowała nawet z ulubionego solarium. Nadstawiała swój szeroki grzbiet i natrętnym chrząkaniem prosiła o przyjacielską usługę: drapanie pleców. Na ogrodzeniu leżał do tego celu przeznaczony kijek. Należało wziąć go w obie ręce i końcem mocno skrobać jej tłusty grzbiet. W skali ludzkich odczuwań była to pieszczota nieco brutalna, ale Mancika przyjmowała ją jako największą przyjemność. Szczytem jej kariery «towarzyskiej» był okres, w którym modne stało się

fotografowanie w jej towarzystwie. W albumach internowanych zachowało się z tego czasu wiele sielankowych zdjęć, okazało się przytym, że Mancika jest bardzo fotogeniczna.

Przeszła dawno wiosna, minęło upalne lato i nadeszła urodzajna jesień. Pierwsze towarzyski Manciki już dawno poszły pod nóż, a i następne zginęły kolejno w chłonnych żołądkach obozowiczów. Mancika wciąż trwała nienaruszona. Wielokrotnie ważyły się jej losy, ale wierni przyjaciele czuwali i zawsze w porę potrafiliby zażegnać niebezpieczeństwo. A ona tymczasem rosła i tyła fenomenalnie. Wśród kudłaczy mangalica wyglądała jak Guliwer wśród Liliputów. Wreszcie doszło do tego, że jej nogi ugięły się pod olbrzymim ciężarem. To ją ostatecznie zgubiło. Nie pomogły już interwencje przyjaciół: legła — by już więcej nie powstać.

Wiele było w «Koronie» z tego powodu smutku i niejedna łza w tym dniu spłynęła melancholijnie na dno kieliszka, ale nie brakło również radości. O, bo Mancika stała się powodem do wyprawienia hucznego świniobicia, które walnie przyczyniło się do osuszenia też boleśnie dotkniętych przyjaciół zamordowanej. Starszy obozu zaprosił na ucztę (podano jako główne danie kiełbasę z kapustą) węgierską komendę in corpore w myśl znanej dewizy, że: «Taktem i spokojem można wszystko zrobić. Niech wiedzą, że mamy kulturę!»

## Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU OBYWATELSKIEGO

### Opieka nad młodzieżą

cz. V.

W ramach opieki nad młodzieżą uchodźczą zwrócono również uwagę na czynnik samowychowawczy, odgrywający jak wiadomo znaczną rolę w całokształcie wychowania a w szczególności w zakresie wychowania społecznego. Wychowanie społeczne młodzieży, szczególnie na uchodźstwie, posiada duże znaczenie jeśli się zważy, że młodzież odcięta jest od wszelkich instytucji i komórek życia państwowego; Łatwo przeto w takiej sytuacji wyrósł w ciągu kilku lat na skrajnego egoistę i aspołecznika.

By temu niebezpieczeństwu przeciwdziałać organizuje się młodzież poczynając już od poziomu szkół powszechnych w ramach młodzieżowych instytucji samorządowych, samopomocowych i samokształceniowych. Na terenie szkół powszechnych ma to oczywiście bardzo skromny zakres, ale wśród młodzieży szkół średnich i wyższych owe instytucje samowychowawcze są już znacznie zaawansowane

W ośrodku w Balatonboglár istnieje ogólnoszkolny samorząd i gminy klasowe. Samorząd rozwija działalność w zakresie wzajemnej pomocy

materialnej jako organ pomocniczy przy kierownictwie ośrodka. Uruchomiona jest również wzaajemna pomoc w nauce jak również powołano do życia szereg kółek naukowych mających na celu pogłębianie wiadomości zdobywanych w czasie nauki szkolnej. W ramach samorządu mieści się też redakcja pisma p. t. «Młodzież». Jeżeli chodzi o studentów szkół wyższych, to Rada Opiekuńcza, sprawująca opiekę i nadzór nad tą młodzieżą postanowiła z początkiem roku szkolnego 1942/43 r. uruchomić samorząd studencki, dostosowany oczywiście do obecnych warunków.

Cele tej akcji były następujące:

1. Stworzenie organizacji, która będzie reprezentowała młodzież na zewnątrz i będzie wyrazem dążeń i prądów wśród młodzieży.
2. Umożliwienie tworzenia się opinii publicznej wśród młodzieży i odpowiedniego oddziaływania społecznego na młodzież.
3. Stworzenie ram samopomocy w nauce jak również pośrednictwa i współdziałania z Radą Opiekuńczą przy przeprowadzaniu pomocy materialnej dla studentów.

Organizacja młodzieży studenckiej szła kolejnymi etapami. Najpierw uruchomiono pomoc w nauce

przez powołanie do życia szeregu kół naukowych skupiających ogół młodzieży naszej na danej uczelni a więc koło studentów politechniki, koło filozofów, koło medyków i. t. d. Dalszym etapem było wyłonienie z tych kół naukowych organu obejmującego całokształt życia organizacyjnego młodzieży. Ta organizacja otrzymała nazwę »Bratniaka«. Życie tej organizacji reguluje statut uchwalony przez ogół młodzieży oraz regulamin.

Cele »Bratniaka« są następujące:

1. Samopomoc w nauce,
2. współdziałanie z czynnikami nadzorczymi w zakresie pomocy materialnej,
3. reprezentacja młodzieży na zewnątrz,
4. samowychowanie społeczno — obywatelskie.

Prócz »Bratniaka« uruchomiono również samorządy w poszczególnych domach studenckich.

Ta akcja samowychowawcza młodzieży posiada, jak już na wstępie zaznaczyliśmy, doniosłe znaczenie wychowawcze. Należy rozwijać ją dalej, bez względu na trudności jakie tu i ówdzie powstają. Młodzież od tysięcy lat nigdy »łatwą« nie była, jednak winna ona zdawać sobie sprawę z tego, że żyjemy w warunkach wyjątkowych i że odpowiedzialność wobec przyszłości jaka na niej ciąży jest wielka. Młodzież winna zachować swe właściwości, jednak wystrzegać się musi wszelkich przerostów i wy bujałości indywidualistycznych i podporządkować się potrzebom chwili obecnej i wymogom naszej przyszłości, która dla wszystkich nas musi być suprema lex.

## KOMUNIKATY

Sekcja Lekarzy Polskich zawiadamia, że z dniem 1 stycznia 1944 roku wstrzyma zapomogi dla dzieci urodzonych w 41 roku. Sekcja zaleca rodzicom tych dzieci zwrócić się do Unii Międzynarodowej Pomocy Dzieciom z prośbą o przyznanie stałej zapomogi miesięcznej. W tym celu należy złożyć podanie do Unii, dołączając małą fotografię dziecka w skromnym ubranku i świadectwo lekarza, stwierdzające stan zdrowia dziecka i potrzebę dożywiania. W podaniu musi być podane imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia oraz imiona i zawód rodziców. Podanie należy kierować do Sekcji Lekarzy. Mogą również złożyć podania rodzice dzieci urodzonych później, jednak z chwilą otrzymania zapomogi, należy o tem powiadomić Sekcję Lekarzy.

\*

Komitet Obywatelski urządza w dniu 24 grudnia b. r. dla uchodźców polskich zamieszkałych na terenie Budapesztu wspólną wieczerzę wigilijną.

Miejsce wieczerzy i czas będą podane później.

Uchodźcy pragnący wziąć udział we wspólnej wieczerzy proszeni są o zgłoszenie się w godzinach od 9—12-tej w lokalu Komitetu przy Személynök-utca Nr. 25, II em. I w terminie do 15 b. m.

JAN KOPROWSKI

## 20 LISTOPADA

*Lusi w Dniu Imienin —*

*Dobranoc. Spij spokojnie. Pomyśl trochę o mnie.  
Niech Ci się wszystko to, co dobre dziś przypomni.  
Ja do domu nie pójdę, nie wiem gdzie dom stoi,  
dziś wszystko się zmieszało w niepamięci mojej.  
Zostanę i postoję gdzieś na mlecznej drodze,  
aż przejdą małe dzieci i starcy ubodzy.  
Wtedy w wóz wielki wsładę, który na mnie czeka  
i powiozę Cię z sobą w przymkniętych powiekach.*

*A gdzieś tam się zatrzymam, by Ci wiersz napisać,  
gwiazdy będą niziusko tuż nade mną wisiać.  
Na niebie rozwiniętym jak arkusz papieru  
będę pisał — litera sptynie za literą,  
aż pochyłością nieba ku Tobie się stoczą  
i radość, wielką radość sprawią Twoim oczom.  
Prześlę Ci złote róże, których mróz nie zwarzył  
i w różach tych Ci będzie tak bardzo do twarzy,  
że rozśmieszysz się w głos — jasno się rozśmieszysz  
i już nie będziesz wiedzieć, co się z Tobą dzieje . . .*

*Dobranoc. Spij spokojnie. Pomyśl trochę o mnie.  
Niech Ci się wszystko to, co dobre dziś przypomni.  
A ja Ci wiersz napiszę — najpiękniejszy wiersz  
o tym, że tak naprawdę . . . tak bardzo . . . no . . . wiesz —  
Śpiąc będziesz się uśmiechać, ja zaś wraz z księżycem  
Cały Twój dom owinię w srebrzystą mgławicę  
i oprę się o szybę patrząc czy już śpisz . . .  
I nic nie będę wiedział: czy dawniej, czy dziś  
było to wszystko już, czy też dopiero tak będzie — — —  
I wciąż myślę o Tobie i — zawsze i — wszędzie.*

## TREŚĆ NR. 21.

Stabilis: Turcja po latach dwudziestu. — Kazimiera Hłankowiczówna: Czarty list z Kolozsváru. — R. M.: Anglia i Portugalia. — Adam Markiewicz: Polityka podatkowa w Stanach Zjednoczonych. — Zygmunt Pohusz Szyszko: Samotna placówka. — Easic English. — Międzykontynentalne transporty lotnicze. — Dr. A. Spryszak: Szczepionki i ich zastosowanie. — Cyryl Gondawa: Mancika. — Z działalności Komitetu Obywatelskiego.

«Tygodnik Polski-Materiały Obozowe» wydawnictwo kulturalno-oświatowe Komitetu Obywatelskiego Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech Budapest, V., Géza-utca 3.

Za wydawnictwo i redakcję odpowiada JENŐ KAJTÁR  
Przedpłata miesięczna 1.20 P kwartalna 3.60 P.

Przedpłatę należy wpłacać blankietem czekowym  
na konto Nr. 19.062.

W sprawach redakcyjnych i administracyjnych należy  
zgłaszać się pod adresem: Budapest V., Alkotmány-  
utca 31. III. em. 11. telefon: 12—55—20.

438035 — Drukarnia artystyczno-literacka, Athenaeum  
S. A. pod dyrekcją: Antal Kárpáti.